Zeszyt 16. Rok I.



Lwów 16. Maja 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi: we Lwowie rocznie złr. 7.40 — półrocznie złr. 3·70 — kwartalnie złr. 1·85. — Z przesyłką pocztową rocznie 8 złr. — półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr. — Za granicą rocznie 16 marek.

Adres redakcji i administracji: *Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.* (Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

CYWILIZATOR

POWIEŚĆ

Wincentego Juliusza Wdowiszewskiego.

V.

(C. d.) W dzień Matki Boskiej Śnieżnej, około jedenastej godziny rano w salonie bzowskiego pałacyku żywa toczyła się rozmowa. Procz domowników była w salonie Molska z synem, pan Oskar Rozmyski, stary Grzesicki i kilku innych sąsiadów. Przybyli oni wszyscy powinszować Maryjce, która dziś obchodziła imieniny.

Gospodarz domu z serdecznością jemu właściwą witał swoich gości, zawiązywał rozmowę o bieżących stosunkach. Marja otoczona młodymi, słuchała ich grzeczności dość powszednich. Molska rozmawiała z profesorem i Grzesickim. Ktoby uważniej popatrzył na domowników, byłby dostrzegł, że mimo pozorów wesołości, w jaką starali się przybrać swoje twarze, w ruchach ich i spojrzeniach była skrywana troska i niepokój.

Sam pan domu był gorączkowo usposobiony. W czasie najbardziej ożywionej rozmowy, gdy zdawało się, że cały jego umysł jest nią zajęty, oko jego niespokojnie zwracało się ku drzwiom, jakby wejścia kogoś oczekiwał. Nadto gdy napotkał badawcze oko brata, zwracał się w inną stronę, jakby obserwowanym być nie chciał.

Profesor był chmurny, chociaż zły jego humor mogli dostrzedz tylko bliżej go znający, bo niezadowolenie manifestowało się u niego w sposób szczególny, szarpaniem kamizelki, poprawianiem okularów i szukaniem wąsów, których nie nosił.

Marja mimo że się śmiała, że z pozornem zajęciem słuchała opowiadań i frazesów młodzieży, rzucała kiedy niekiedy zalęknione spojrzenie to na ojca, to na stryja; zwłaszcza zaś na ojca, który nie ustał spokojnie, ale kręcił się po salonie.

Jeden z młodych ludzi odwołał się o rozstrzygnięcie sporu do Grzesickiego, który dotąd rozmawiał z Molską i profesorem. Wezwany odszedł w przeciwną stronę sali, a Molska korzystając ze sposobności. przemówiła poufnie do profesora:

— Panu coś dolega?

— Mnie? Bynajmniej. Czuję się zdrów jak nigdy.

— Nie zdrowie miałam też na myśli.

— Przyznam się pani, że od czasu przyjazdu Bożyckiego nieswojsko mi u brata.

— Pan Bożycki przyjechał? I kiedyż?

— Przed trzema dniami. Powiadam pani, że w życiu nie zdarzyło mi się spotkać wstrętniejszego człowieka. Widok tej skaczącej, starej małpy, jest dla mnie nieznośny.

— Skaczącej małpy? — zadziwiła się Molska. — A toż co nowego? O ile znam pana Karola, jest to człowiek tak na swojem miejscu, jak rzadko.

— Pani żartujesz ze mnie!... Jak to! Ten starzec w ciągłych podskokach, prawiący grzeczności jak młokos, wykosmetykowany, na milę woniejący paczulą, ten trup zgalwanizowany ma być człowiekiem na swojem miejscu?

— Ależ to chyba nie Bożycki. Profesor myli się co do osoby...

— Może! Może dwóch Bożyckich zaszczyca mój brat swoją przyjaźnią.

— Cóżby w nim za zmiana nastąpiła? — zastanawiała się Molska. — Prawda że dbał zawsze o swoją powierzchowność, ale żeby w obejściu jego była choć odrobina śmieszności, nie powiem.

— Doprawdy? Patrz pani, bo właśnie wchodzi.

Molska spojrzała ku drzwiom, a na twarzy jej coraz większe malowało się zdziwienie. Obserwował ją bacznie profesor.

Wchodzący był starszym od gospodarza domu, chociaż pozornie daleko młodziej wyglądał. Najświeższej mody kostjum miał na sobie; na głowie siedziała peruka bardzo starannie wykonana. Twarz ogolona, pokryta była taką warstwą kosmetyków, że pod nią znikły wszelkie zmarszczki starości. Nawet koło oczów brakowało fałdów, a oczy te miały jakiś sztuczny blask, który raził. Cały szereg prześlicznych białych zębów pokazywał się, gdy rozchylił usta i tą regularnością a białością zdradzały swoją sztuczność. W ruchach była nienaturalna żywość; nie szedł, ale posuwał się w susach pełnych pretensji. Był to starzec silący się na młodzieńczą rzeźkość i właśnie w skutek kontrastu między chcieć a módz, między rzeczywistem niedołęztwem starości a udaną młodością, i wstrętny i śmieszny. W ubrylantowanej ręce niósł olbrzymi bukiet najrzadszych kwiatów i niewiadomo co więcej pachło: czy te kwiaty, czy perfumy, któremi był oblany niosący.

Bzowski wyszedł naprzeciw i uściskiem ręki powitał gościa.

— Ależ to spioch z ciebie, mój Karolu!...

— Pardon! Zarzut zupełnie niesłuszny. Wstałem już dawno, ale musiałem czekać na bukiet, który mi dopiero co z poczty przyniesiono. Z próżnemi rękami trudno było stanąć przed królową dzisiejszej uroczystości...

Domawiając tych słów Bożycki, stanął przed Marją, a ująwszy jej rękę, głośny i długi złożył na niej pocałunek.

— Pozwoli pani ucałować tę śliczną i drobniutką rączkę i przyjąć ten skromny dar w dowód prawdziwie życzliwej przyjaźni i uwielbienia.

Marja wzięła podany bukiet, wysunąwszy równocześnie z dłoni Bożyckiego rękę. Tak ją zaambarasowała ta dziwna, niepraktykowana dotąd nigdy grzeczność Bożyckiego, że na razie słów odpowiedzi znaleźć nie mogła. Wyratował ją z kłopotu ojciec, który z humorem powiedział:

— Ho! ho! Mój stary Karol zaczyna się bawić w szarmanta...

— Za pozwoleniem Onufry — rzucił trochę zły Bożycki — nie jest się nigdy za starym, aby nieść hołd piękności, zwłaszcza gdy ona objawia się w córce przyjaciela.

— Przyjmuję też bukiet jako dar przyjaźni — rzekła Marja, wstawiając go w wazon. Podczas tego Bzowski przedstawiał Bożyckiego swoim gościom. Gdy ten zobaczył Molskę, poskoczył ku niej i rękę jej ucałował.

— Wiecznie młoda, wiecznie piękna! — zawołał z emfazą — pani senatorowa musi posiadać tajemnicę przechowywania młodości.

— Rzeczywiście ją posiadam, ale chętnie każdemu udzielam przepisu....

— Który brzmi?

— Ciągłe zajęcie pracą...

— Magnifique! Superbe! Nietylko wiecznie piękna, ale wiecznie dowcipna... Daruje pani, że udam się do solenizantki, ale dziś jej wyłącznie służyć postanowiłem. Obowiązek to rycerski a miły...

— Czy jeszcze trwa pani w swoim błędzie? — przemówił profesor do Molskiej po oddaleniu się Bożyckiego.

— Słupieję! — rzekła cicho. — Co to wszystko ma znaczyć? Nie poznaję Bożyckiego...

— Widziałaś pani przyczynę mojego rozstrojenia. Ten Bożycki bardzo mi się nie podoba... Od czasu jak tu bawi, nie mam chwili spokojnej. Formalne koperczaki stroi stary trup do Maryjki. Dziewczyna nie wie gdzie oczy podzieć, co zrobić z tym fantem, a Onufry jeszcze mu bębenka podbija, wychwalając przed nim córkę. Istny dom warjatów, moje serce....

— Tu się coś niedobrego święci, profesorze...

— I ja przeczuwam to, choć mi się w głowie pomieścić nie może, jakby ta stara małpa śmiała mieć jakieś zamiary na Maryjkę. Tożby się świat kończył.

— Muszę pomówić z Maryjką — rzekła Molska.

— Będę pani dozgonnie wdzięczny.

Molska zwróciła się ku grupie młodych ludzi, którzy otaczali Marję, a profesor zaczął rozmowę z bratem, któremu przed chwilą wręczył lokaj paczkę listów.

— Nie ma co do mnie? — zapytał profesor.

— Nie ma. Za to do Bożyckiego są dwa listy z Wiednia.

— Obszerną prowadzi korespondencję — zauważył profesor. — Jest tu zaledwie trzy dni, a otrzymał już kilkanaście listów, napisał zaś jaką kopę...

— Ma w Wiedniu interesa bankowe — wyjaśniał Bzowski. — To człowiek bardzo majętny i grosz zbiera do grosza. Jest także kilka biletów do Maryjki.

— Daj, wręczę je dziewczynie. — Profesor wziął od brata bilety, przyczem zauważył, że ten odebrał także kilka dużych listów, między innemi jeden mający pozór oficjalnego pisma...

— Od mojego adwokata — rzekł Bzowski, oglądając kopertę. — Pewnie w sprawie Pellarówki.

— A propos Pellarówki, jakże sprawa stoi?.... Coś zrobił w gubernium?...

— Ot! lepiej nie pytaj! Zbyto mnie ni tem, ni owem, że musiałem powierzyć sprawę adwokatowi, który także nie wielkie robił nadzieje, gdyż ten cywilizator dopełnił wszelkich formalności. Nie będę otwierał nawet tego listu, aby sobie nie zatruwać dnia dzisiejszego...

Gdy profesor odszedł dla wręczenia biletów Marji, Bzowski skinął na swojego przyjaciela, a gdy ten do niego się zbliżył, wręczył mu listy. Bożycki szybko porozrywał koperty i skwapliwie odczytywał zawarte w listach nowiny. Gdy skończył, zwrócił się żywo do stojącego opodal Bzowskiego.

— W skutek otrzymanych właśnie wiadomości, będę musiał najprawdopodobniej odjechać za dwa lub trzy dni... Oczekuję tylko depeszy...

— Co? Żartujesz chyba! Gdzieżbym ja cię puścił tak prędko... Ani sobie myśl o tem...

— Będzie mi przykro, ale cóż robić... Stosunki nieraz zmuszają nas do porzucenia najmilszego towarzystwa. Przypuścisz, że wolałbym siedzieć u ciebie, niż tłuc się do Wiednia lub Warszawy..... Ale cóż robić!...

— Ja wiem co mus — westchnął Bzowski. — Patrz no Karolu, jak to Maryjce asystują. Czy zmieniła się od czasu jak ją ostatni raz widziałeś w Warszawie?

— Tylko wyładniała! Prześliczna, daję słowo honoru! Cacko nie córka!... Co to będzie za żona! Delicje!...

— Bzowskie zawsze takie! — powiedział z dumą pan Onufry. Po chwili milczenia dodał: — Chciałbym z tobą Karolu pomówić na osobności.

— Zaraz? — spytał Bożycki.

— A, broń Boże!... Powiedziałem to, aby cię przygotować, że mam do ciebie prośbę...

Koło ust Bożyckiego zaigrał jakiś uśmiech szyderczy, ale w głosie była jak największa serdeczność.

— Ależ najchętniej, mój Onufry, służę ci dziś nawet, jak się goście rozjadą. Tylko mi przypomnij, bo mam taką rozkotłowaną głowę, że dalibóg niewiem gdzie mi stoi.. Pewnie potrzebujesz pieniędzy? — szepnął pytająco, nachylając się ku Bzowskiemu.

— Tak... trochę... niewiele... — jąkał zapytany, ze wzrokiem spuszczonym w dół.

— Obliczę się z funduszami — powiedział Bożycki. — Wiesz dobrze mój Onufry, że ile razy mogłem zawsze wygadzałem twoim życzeniom. — Mówiąc to, uścisnął dłoń Bzowskiego.

— Alboż ja cię nie znam — zapewnił Onufry, odwzajemniając uścisk. Świat wydawał mu się weselszy, gdy po tej rozmowie, którą mało kto zauważył, a nikt nie słyszał, ręka w rękę z Bożyckim zbliżył się do reszty towarzystwa.

Za chwilę gospodarz poprosił mężczyzn do sąsiedniej jadalni na przedobiedną przekąskę. W salonie została tylko Molska z Marją.

Zaledwie za gośćmi zapadła portjera, gdy Marja przystąpiła do siedzącej koło okna Molskiej i chwyciła jej rękę.

— Żebyś mateczko wiedziała jak mi czegoś smutno! Śmieję się, a w głos bym się rozpłakała. Jeszcze nigdy nie miałam tak przykrych imienin.

— Zkądże u ciebie, dziecko, ten niepokój, to rozdrażnienie?...

— Sama nie wiem. Czuję, że mnie jakieś nieszczęście spotka...

— Ale dajże pokój, dziewczyno.... Cały świat ci się uśmiecha, a ty mówisz o nieszczęściu.... Któż widział!....

— Czy uważałaś mateczko pana Bożyckiego?

— Uważałam. Dla czego się o to pytasz?

— Nie uderzyła cię zmiana w nim?

— Owszem i przyznam się, że wcale mi się ona nie podoba.

— A mnie jak! — zawołała Marja. — Gdy wszedł przed trzema dniami do salonu, o mało nie krzyknęłam ze zdziwienia... A jego obejście! Dawniej nie zwracał prawie uwagi na mnie, obchodził się jakby z córką, a teraz tylko do mnie się zwraca, tylko ze mną mówi i koło mnie drepcze... Wierz mi mateczko, że gdy patrzy na mnie, to cała staję w ogniach, taki wzrok jego jest dziwny...

— Hm! ten bukiet jego daje wiele do myślenia...

— Prawda? Gdzież to takiemu starcowi bawić się w donżuana.

— Na świecie dzieją się różne rzeczy. Mnie się zdaje, że Bożycki zagiął parol na ciebie..

— Ależ to okropne, moja mateczko, to niepodobne! Jakżeby to być mogło! Ośmiesza mnie tylko swojemi grzecznościami... Jakżeby on śmiał przypuścić, żebym się zgodziła na podobnego konkurenta....

— Cóż ojciec na tę metamorfozę Bożyckiego?

— Otóż właśnie jego usposobienie do rozpaczy mnie doprowadza... Zwróciłam jego uwagę na postępowanie Bożyckiego, a on tylko ruszył ramionami i powiedział: Ot kaprys starego! cóż ci to szkodzi! Bożycki był całe życie ekscentrykiem; trzeba mu darować te wybryki dla jego poczciwego serca... Masz pani dosłowną odpowiedź ojca...

— Nie dziwię się jej, wiedząc jak twój ojciec serdecznie sprzyja panu Karolowi. Przyjaźń to nie dzisiejsza...

— Tem bardziej uprawnia ojca do powiedzenia Bożyckiemu, że robi się śmiesznym. Jeśli potrwa dłużej ta maskarada, zdobędę się na odwagę powiedzenia mu sama, co o tem myślę. Niech się gniewa lub nie gniewa, dłużej nie zniosę takiego położenia.

— Nie wypada, moja Maryjko. Bądź no trochę wyrozumialszą a zresztą licz także na mnie. Będę czuwała, a gdy się nadarzy sposobność, sama pomówię z Bożyckim. Mnie to ujdzie, jestem starsza, matka dzieciom i twoja chrzestna. Mam do ciebie niejakie prawa, moja Maryjko.

— O masz, moja serdeczna, bo cię kocham jak matkę!...

Marja przytuliła się do piersi Molskiej jakby się jej w opiekę oddała. Była jak ptaszę, które w przeczuciu grożącego niebezpieczeństwa ucieka się pod skrzydła macierzy... (C. d. n.)

MARZNĄCE FALE

POWIEŚĆ

przez Walerego Przyborowskiego.

XX.

(C. d.) Nazajutrz deszcz lał ciągle. Miejsce ulewnej burzy, zastąpił teraz ciągły, drobny, nudzący kapuśniaczek. Niebo było pokryte płowemi chmurami i niepogoda zanosiła się na długo, na trzy dni może.

Niepodobna było jechać, to też Mina prosiła Izę, by jeszcze w Zalesiu została. Iza chętnie się na to zgodziła. Mina zresztą była niezwykle blada tego rana, kiedy się zebrano w mniejszej sali prowadzącej na taras, sąsiadujący z maleńkim pokoikiem z Ledą i Amorem. Oczy miała podsiniałe i spała długo. Przyszła najpóźniej ze wszystkich i kończono już śniadanie, gdy się ukazała w szlafroku, smutna jakaś, milcząca, unikająca wzroku wszystkich.

Miller wcale się nie pokazał rano. Siedział w swej kancelarji i liczył. Grad zadał mu ciężką klęskę. Myślał, że sprzedaż lasu i zbiory pokryją choć część wydatków, tymczasem przekonał się, że trzeba będzie znów pisać do Lapego, żeby przysłał pieniędzy. Martwiło go to bardzo. Nie śmiał po prostu pisać do swego zastępcy, który w listach przy każdej przesyłce robił nieśmiałe uwagi, że interes na tem dużo traci, że między handlującymi i przemysłowcami w Warszawie poczynają zwracać uwagę na to ciągłe wycofywanie kapitału z banków, że sklep nie idzie dobrze, że jest ogólna stagnacja, że trzeba być bardzo ostrożnym.

Wszystko to Miller czytał z gniewem, niechęcią, ale w duszy przyznawał, że stary, poczciwy Lape ma rację. Pocieszał się tylko tem, że wkrótce nie będzie od Lapego wymagał więcej pieniędzy, że dochód z majątku pokryje wydatki. Tymczasem przyszła niespodziewana, nagła, straszna klęska, grom z pogodnego nieba i wszystkie rachuby i nadzieje kupca rozwiał na nic. Trzeba było znów pisać i żądać podniesienia z Banku Polskiego nowej sumy, wymówienia innych sum poumieszczanych na hipotekach paru domów w Warszawie. To go gryzło i psuło mu humor. Był on dość przezorny i bystry, by nie widział, że jeżeli tak dalej pójdzie, to może być zrujnowany z kretesem. Pieniądze płynęły jak woda i nie było nawet najmniejszej nadziei, by choć część ich się wróciła.

Przy śniadaniu nie było również Joanny, która zajęta była gospodarstwem, zaprowadzeniem nowego ładu. Widać ją było, jak przebiegała przez dziedziniec do kuchni, w szlafroku starym, łatanym starannie, a jej gruby, suchy głos rozlegał się donośnie.

Dzień był smutny, deszczowy, niebo pokryte szaremi chmurami. Wszyscy też byli jacyś nie swoi. Julek znów dostał ataku pesymistycznego. Siedział przy herbacie i ziewał ukradkiem. Prawił niestworzone rzeczy. Gdy weszła Mina zarumienił się lekko. Czuł przebiegający go dreszcz na wspomnienie minionej nocy. Iza również była jakaś nie swoja. Gorączkowa ruchliwość wczorajszego wieczora opuściła ją i siedziała z powagą i postawą damy wielkiego świata.

Po śniadaniu wyraziła chęć obejrzenia pałacu. Panowie ofiarowali się oprowadzić ją. Jakoż ruszyli w towarzystwie Julka i Zygmunta. Matka jej została i poczęła swemi suchemi i brudnemi rękami rozkładać na stole pasjansa. Pani Łucja i Mina schroniły się do swych pokoi.

Oglądano więc pałac. Iza była w swojej wczorajszej jasnej sukience, bo innej ze sobą nie miała. Zimno jej było i otuliła się dużym, purpurowym szalem, przy którym jej jasna główka przepysznie się wydawała. Swemi drobnemi nóżkami stąpała po posadzce jak po scenie. Rozruszała się nieco i śmiała głośno po wielkich salach pałacu. Niby to oglądała wszystko a właściwie na nic nie patrzyła. Widocznem było, że robiła to dla zabicia czasu, dla przerwania ogarniającego ją znudzenia. Zygmunt głównie pokazywał jej wszystko, co było godnem widzenia. Mówił wiele i dobrze, obrzucając namiętnym wzrokiem towarzyszkę. Julek za to milczał i w końcu po przejściu kilku sal począł przystawać w tyle, wreszcie zupełnie znikł. Zygmunt i Iza zostali sami.

Byli właśnie wtedy w jednem ze skrzydeł pałacu, zakończonem wieżyczką. W wieżyczce tej mieściła się biblioteka; duża, okrągła sala z jednem tylko wejściem, zastawiona dokoła książkami

— Obejrzymy jeszcze bibliotekę — mówił Zygmunt.

Weszli tam i Zaremba zamknął drzwi, poczem stając przed dziewczyną otuloną w szal purpurowy i oglądającą się po sali, rzekł głosem przytłumionym przez wzruszenie:

— Nakoniec Iziu jesteśmy sami.

Szybkim ruchem głowy obejrzała się do koła.

— A gdzież pan Juljan?

— Nie wiem.

— Chodźmy ztąd! — rzekła i postąpiła parę kroków ku drzwiom, jak gdyby lękała się zostać sam na sam z mężczyzną, który ją kochał.

Zastąpił jej drogę:

— Nie pójdziesz Iziu..... od trzech lat pragnę takiej chwili i miałbym cię teraz wypuścić?... nigdy!

— Cóż pan chcesz odemnie?

Nie odrzekł nic, objął ją w pół i począł całować namiętnie.

— No dobrze, dobrze — rzekła wyrywając się z jego objęć — chodźmy już.

— Pocałuj mię, Iziu! — błagał głosem ciągle stłumionym, drżącym od namiętnego wzruszenia.

— Owszem, ale pójdziemy zaraz.

Mówiła to spokojnie, zimno, nie dając się unonić zapałowi, który ogarniał Zygmunta. Pocałowała go, ale on jej z objęć nie puszczał. Przyciskał ją tak do siebie, że wołała:

— Udusisz mię pan. Dość już tego. Nie chcę! niechcę!

Kryła twarz w ręce i broniła się jak mogła.

— Puść mię pan! — wołała — może kto nadejść i ładna będzie historja.

— Nikt nie nadejdzie, nikt nie wie gdzie jesteśmy. Do biblioteki w tym domu jak najmniej zaglądają. Jesteśmy tu bezpieczni i spokojni.

— To dobrze, ale już dość tego. Ja chcę wrócić do mamy.

— Więc nie kochasz mię Iziu?

— Dajże mi pan pokój. Zła jestem! To zasadzka, ja niechcę...

Opór ten niespodziewany, uparty, począł i jego gniewać. Zaczerwienił się i uniósł:

— Do wszystkich djabłów! — syknął.

Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy.

— Ach! — rzekła — zaczynasz pan kląć jak dorożkarz!

Oprzytomniał, puścił ją, ale drogę do drzwi ciągle jej zastępywał.

— Chcę z tobą pomówić Iziu. Nie na to przecież los mi zesłał burzę, nie na to zostałaś tutaj, narażając mnie na wszystko, byśmy nie mieli nawet pomówić ze sobą. Kocham cię, wiesz o tem dobrze.

Zbliżyła się do niego z rzewnym wyrazem w swych aksamitnych oczach i głaszcząc go białą swą ręką po twarzy, rzekła:

— Wiem o tem, wiem doskonale, lecz cóż ja biedna zrobię? Nie byłabym przecież nigdy tu została, gdyby nie pan. Tak, dla pana to zrobiłam. Nie gniewaj się moje złotko, mój śliczny, mój Zygmusiu.

Głaskała go i całowała po twarzy. Przytuliła się do niego, zwieszając się jedną ręką u jego szyi. Jej usta namiętnie dotykały się jego ust.

Rozgorączkowany wziął ją jak dziecko na rękę, siadł na krześle i posadził sobie na kolanach.

Otaczała ich zupełna niczem nie zamącona cisza, słychać było tylko monotonny plusk deszczu i wody wyciekającej z rynny. Wiatr trząsł ciągle drzewami pod oknem i smutne ich, zmoczone liście szemrały. Pod piecem w kącie sali, rozlegał się przytłumiony trochę głos świerszcza, a ze szczytu szaf patrzyli na całującą parę, na tę scenę miłosną, posągi Seneki, Ezopa i Wirgilego. Lafontaine w wielkiej peruce uśmiechał się dobrotliwie. Naruszewicz swą chudą, nerwową twarzą zdawał się drwić z zakochanych. Karpiński w kontuszu roztkliwiał się, myśląc o jaworach i Justynie.

Przez okna osłonięte drzewami ogrodu dostawało się w tym dniu deszczowym i pochmurnym nie wiele światła. Było ono białe i blade. Ślizgało się po szafach, po zakurzonej posadzce, po biustach wielkich ludzi i po twarzyczce Izy, zarumienionej, rozgorączkowanej. Szal purpurowy zsunął się z jej ramion i leżał na posadzce u ich stóp jak krwawa plama. Zygmunt trzymał dziewczynę w pół jedną ręką. Oboje byli na pół nieprzytomni, zapomnieli o wszystkiem, o otaczającym ich świecie, o tem, że może tu kto wejść. Myśleli tylko o sobie.

Nagle otworzyły się drzwi i ukazała się w nich postać spokojna i poważna pani Łucji. W jednej ręce trzymała książkę, którą widocznie odnosiła do biblioteki, by wziąć inną dla rozerwania się w tym dniu smutnym i dżdżystym. Przez chwilę zdawała się nie widzieć kochanków, skamieniałych jej wejściem, ale potem nagle spostrzegła ich i krzyknęła okropnie.

Iza zeskoczyła z kolan kochanka i stanęła na środku sali zarumieniona i drżąca, nie wiedząc co ze sobą zrobić. Zygmunt blady, zmięszany, podniósł się i wsparł na poręczy krzesła. Przez chwilę panowało straszne milczenie.

W rozwartych drzwiach stała wciąż pani Łucja mieniąc się na twarzy, z oczami błędnemi, pełnemi błyskawic, ale potem posunęła się naprzód, cisnęła książkę na ziemię, aż się chmura kurzu podniosła do góry i z pięściami zaciśniętemi zbliżyła się do martwiejącej Izy. Ta poczęła się cofać a pani Łucja biegła za nią, krzycząc:

— Ty łajdaczko! — precz ztąd... precz mówię ci... uciekaj, bo ci oczy wydrapię... ach... ty...

Nie mogła znaleść słów, któremi by mogła określić ohydę, jakiej była świadkiem. Tupała obiema nogami w uniesieniu strasznego gniewu. Głos jej ochrypł i wydobywał się ciężko, przytłumiony, gruby z piersi. Biegła za cofającą się Izą, ciągle z pięściami podniesionemi do góry. Widocznie była panią siebie. Gdyby była doścignęła Izę, byłaby ją uderzyła. Ale dziewczyna przerażona do najwyższego stopnia obiegła salę do koła i wymknęła się przez otwarte dzwi. Pani Łucja chciała widocznie gonić ją dalej, gdy powstrzymał ją głos Zygmunta:

— Luciu, uspokój się. Pamiętaj że nie jesteśmy u siebie.

Zatrzymała się na te słowa, spojrzała na męża i zawołała z wyrazem niewypowiedzianej pogardy:

— Ach ty niegodziwcze!

Potem zachwiała się, padła na krzesło i głośno, konwulsyjnie płakać poczęła.

— Wiedziałam — mówiła głosem przerywanym od płaczu — że kochasz się w innej, ale nie wiedziałam w kim. Teraz wiem... to ta... ta aktorka... Wypędzę ją! Sprowadziłeś ją sobie, aby tu pod moim bokiem romansować z nią. To jest nikczemne, to przechodzi wszystko!

Nic nie odpowiadał. Stał niemy, skamieniały. Ona wciąż płakała. Rozżalona do najwyższego stopnia, mówiła:

— Zaraz pójdę do Millera i poproszę go, żeby wypędził ztąd tę bezczelną, bezwstydną aktorkę...

— Nie rób skandalu Luciu. Ona i tak wyjedzie.

— Skandalu? ach! ty mi śmiesz to mówić, ty... O! czegożem się doczekała. Nie wiedziałam gdzie pieniądze przepadają, czemu ich nigdy nie masz, czemu mi odmawiasz wszystkiego. Zkądżebyś ich wziął, kiedyś wszystkie wydawał na kochanki, na aktorki. — O! cóż za niegodziwość!

Milczał ciągle. Usiadł na krześle, oparł się oburącz na stole stojącym na środku i twarz ukrył w dłoniach.

— Na aktorki mogłeś wydawać, a żonie wszystkiego odmawiałeś.

— To nieprawda!

— Nieprawda? śmiesz mi to mówić!

— Skończmy to raz — zawołał wstając.— Błagam cię o spokój, o nierobienie skandalu. Nic więcej od ciebie niechcę.

Wyrzekłszy to skierował się ku drzwiom. Popatrzyła za nim, porwała się na równe nogi, dogoniła go i zatrzymując spytała gwałtownie:

— Gdzie idziesz? — może do niej?

— Dajże mi święty pokój kobieto!

Szarpnął się i wyszedł. Przechodził teraz te same pokoje, które przed chwilą zwidzał z Izą. Jakaż różnica! Czyż mógł się tego spodziewać, co się stało? Fatalność go jakaś ściga. Po co żona tam weszła do tej oddalonej biblioteki? Czyżby ją kto ostrzegł? To nie niepodobna, nikt ich nie widział, jak tam poszli. Prosty przypadek, szkaradna złośliwość losu.

Głucha rozpacz ogarniała go na myśl o tem wszystkiem. Nie chodziło mu już o Izę. Od chwili tej brzydkiej awantury w bibliotece, dziwnie odrazu ostygł do tej dziewczyny. Stała mu się zupełnie obojętną. Ciągle widział ją uciekającą wzdłuż ścian biblioteki, ściganą słowami:

— Precz, precz ty łajdaczko!

Wydawało mu się to tragicznem i śmiesznem zarazem, te dwie kobiety gniewne, kłócące się o niego. Ale po za śmiesznością leżał skandal. Jak go tu zażegnać? Iza musi zaraz wyjechać, ale jaki dać powód jej nagłego wyjazdu. Spojrzał w okno, deszcz lał ciągle, owszem zdawało mu się, że z każdą chwilą się wzmaga. Co robić więc? A potem ogarniał go żal. Żonę miał śliczną i kochał ją bądź co bądź. Miłość do Izy nie była miłością, ale miłostką tylko, grą zmysłów, chętką pochwalenia się kochanką aktorką. Przypominał sobie miodowe miesiące swego małżeństwa. Wszystko się skończyło, mówił sobie — ach, jakżem ja głupi! jak głupi!

Poszedł do swego pokoju, zamknął drzwi na klucz, rzucił się na kanapę i ukrył głowę w poduszkach. (C. d. n.)

Szarfa atłasowa.

Matka jego była piękną jak „Madonna“ Rafaela, dobra i słodka na wzór królowej archaniołów.... Jak motyl w bursztynie, zachowuje na wieki barwy tęczowe, tak i postać matki świetlanej utonęła na zawsze owiana nadziemskim urokiem w sercu i pamięci syna jedynego, chociaż dawno już, bardzo dawno oblewał rzewnemi łzami jej rękę stygnącą, słyszał ostatnie słowa wyszeptane sinemi ustami, słowa modlitwy o szczęście jedynaka, słowa, któremi starała się go przygotować do ciężkiej walki z życiem.

Dziś jeszcze dzwoniło mu w uszach echo głuche i ponure grudek ziemi na wieko trumny spadających..... I biedny dziesięcioletni sierotka rzucił się w grób otwarty, aby go tam wraz z matką pochowano, ale wyciągnięto nieboraka i gwałtem żyć mu kazano.

Jak świat szeroki, nie miał już nikogo! Ten, któremu opiekę nad małoletnim narzucono, odbywał jak pańszczyznę, niechętnie i jak mógł najprędzej wpakował malca do szkoły marynarskiej, pod pozorem, że dla chłopca wątłych sił morze będzie najodpowiedniejszem. Zresztą i ojciec jego był kapitanem okrętu. Tego atoli wcale nie pamiętał.

Opiekun myślał może, iż tym sposobem łatwiej pozbędzie się pupila. Tymczasem stało się wręcz przeciwnie. Chłopak rósł, mężniał i wkrótce dosłużył się rangi oficerskiej, dzięki pilności w służbie i przyjaźni osobistej, jaką zawarł z nim książę krwi, Ludwik, wiceadmirał, tak prawie młody jak Jerzy.

Dziki na pozór i nieprzystępny, prawdziwy wilk morski, Jerzy był w rzeczywistości niepoprawnym marzycielem. W służbie surowy i nieubłagany tak dla siebie jak dla drugich, po za służbą w chwilach wolnych był w stanie śnić godzinami, zapatrzony w toń morza, a wtedy matka stawała mu w oczach, przy-

pominał sobie każde jej słówko, każde czułe i łagodne napomnienie, podług niej sądząc o innych z jej sfery kobietach. Objechał dwie półkule, a wrócił do kraju takim naiwnym idealistą, o jakich dziś trudniej na świecie, niż o kruka białego.

Gdy po raz pierwszy książę Ludwik wprowadził go niemal przemocą na lśniące parkiety sali balowej w mieście stołecznem, „Wilk Morski“ nieustraszony podczas ryku burzy, szumu spiętrzonych morskich bałwanów i huku armat nieprzyjacielskich, oniemiał z przerażenia.

Blask świateł oślepiał go, odurzała atmosfera balowa, duszna, przesiąknięta ostremi, zabijającemi woniami, widok tylu pięknych kobiet, z ramionami obnażonemi, krew młodą rozpłomieniał.

Oparty o słup marmurowy tuż pod otwartem oknem, zwolna przytomność odzyskiwał, owiany świeżem powietrzem z parku rozległego, gdzie wychodziły okna galerji. Galerja stanowiła podczas balów przedłużenie sali głównej. Tuż pod oknami biły fontanny i szumiały drzew konary rozłożyste, szepcąc mu o czemś na ucho cicho i tajemniczo.

Wkrótce o tyle się uspokoił, iż wśród tłumu pięknych tancerek, wirujących i przesuwających się koło niego niby rój Elfów o skrzydełkach różnobarwnych, potrafił wyróżnić jedną najbardziej uroczą i w tę wpattzył się z zachwytem, ta ściągnęła na siebie całą jego uwagę.

Była słuszna i smukła. Włosy spadały jej złotą kaskadą na ramiona mocno odsłonięte, oczy cudowne i niezgłębione mieniły się niby zdradliwe fale morskie. Istna Loreley!... a jak mu postać matki ukochanej przypominała!...

Strój dopełniał złudzenia. Spódnica z ciężkiego atłasu śnieżnej białości była przykryta gazą zielonkowatą, podpinaną artystycznie kwiatem nenufaru i długą trawą morską. W kielichach drżały krople rosy brylantowe. Perły wiły się misternie w puklach włosów, walczyły nadaremnie o pierwszeństwo, strojąc szyjkę łabędzią i rączki drobniutkie jak u dziecka. Gdy się przesuwała w walcu koło słupa marmurowego, szeleszcząc łaskotliwie długą powłoką jedwabną, wzrok jej padł na nieznajomego śmiało, niemal wyzywająco, a usteczka różane uśmiechnęły się tak słodko, rozkosznie, z dziecięcą prawie naiwnością.

Po kolacji odszukał go książę.

— Czyś angażował kogo do kotyljona, hrabio kochany? — poklepał go poufale po ramieniu.

— Ja? — wykrzyknął Jerzy z przestrachem. — Wasza książęca mość wie przecie, żem w życiu z nikim nie tańczył!

— Nic nie szkodzi! — szybko odrzucił książę. — Dałem słowo, muszę cię zatem hrabio dostawić najpiękniejszej pomiędzy pięknemi! hrabiance D., naszej Lorci uroczej! Szczęśliwcze — dodał żartobliwie — wszystka młodzież będzie ci tej konkiety i tego odznaczenia zazdrościć! A ten stoi jak mur obojętny! Patrz hrabio!... stoi tam w głębi... niby mórz królowa... strojna w perły i lilje wodne...

— Hrabianka więc... dotąd nie angażowana?.... — bąknął Jerzy w najwyższej trwodze i pomięszaniu.

— Oh! czysty kaprys! — machnął ręką książę. — O nią przecież formalne walki staczają.... Uparła się jednak z tobą hrabio tańczyć... a choćby przesiedzieć całego kotyljona.... Główka to nie od kształtu. Wiedzie nas wszystkich *tambour battant!* i co tylko zechce... przeprowadzi. Chodź zatem hrabio, mój adjutant przedstawi cię matce i córce.

Laura stanęła właśnie przed matką, żeby jej kwiat na ramieniu przymocowała.

— Z kim tańczysz kotyljona? — szepnęła hrabina.

— Z wielce interesującym przyjacielem księcia — wskazała Laura nieznacznie przez ramię na Jerzego, który się zbliżał ku nim wahający i krokiem niepewnym.

— Czyś oszalała! — ściągnęła matka gniewnie brwi. — Nazwisko piękne i starożytne..... ale zresztą *un va-nu-pieds!...* ojciec sławny hulaka, nie zostawił mu złamanego szeląga!

— Tem lepiej, mateczko! — uśmiechnęła się złośliwie, pokazując dwa rzędy ząbków zwartych, a ostrych jak u kotki. Jest odemnie na wieczne czasy ubezpieczony!

— Zkądże więc ta głupia fantazja, żeby mu się koniecznie narzucać z kotyljonem?

— Kaprys po prostu! — ziewnęła lekko, wzruszając niecierpliwie ramionami.

— A cóż tańczysz z rotmistrzem S.? — indagowała matka dalej po cichu.

— Nic! — OczyLaury błysnęły demonicznie, a nachyliwszy się do ucha matki, dokończyła szeptem:

— Mój kirasjer nadto pewny swego... nadto go popsułam..... Robi się zbyt letnim..... jak gdyby już było po ślubie.... Trzeba mu dodać ostrogi, budząc zazdrość... Muszę dumę i zarozumiałość panicza upokorzyć.... Zobaczy mama, jaki będzie pokorny! ot! tyćki... maleńki!

Przedstawiono Jerzego damom. Powtórzył pięknej Laurze, co już przedtem księciu wyznał, iż tańczyć wcale nie potrafi.

— Właśnie niczego więcej nie pragnę, jak odpoczynku i... miłej pogadanki — skinęła Laura główką, wskazując na krzesło obok siebie. — A z kimże mogłabym rozmawiać przyjemniej, niż z tobą, panie hrabio, któryś świat cały zwiedził!

Zrazu nieśmiały wilk morski dał się wreszcie ugłaskać i oswoić. Któż byłby zdolnym oprzeć się tylu wdziękom i nie uledz takiej potędze. Laura w lot go przeniknąwszy umiała trafić w ton, zrobiła się taką skromną, a serdeczną dziewczęczką, bombar-

dując w dodatku oczami płomienistemi i darząc najsłodszemi uśmiechami.

Czasem tylko z pod zmrużonej przez pół powieki wysyłała ku drzwiom przeciwległym gniewne spojrzenia. Na tle portjery ciemno-pąsowej pięknie odbijała postać wyniosła kirassjera, na pozór patrzącego przed siebie z lodowatą obojętnością.

— Poczekaj niegodziwcze! — mówiła Laura w duchu — tak ci dopiekę! Dopóty wilka morskiego nie przestanę kokietować, póki lody nie stopnieją, póki krew zazdrością nie zakipi!... A wtedy oddasz mi się na łaskę i nie łaskę!...

Biedny wilk morski coraz więcej się rozmarzał, coraz głębiej tonął w oczach czarodziejki, stokroć zdradliwszych i niebezpieczniejszych od fal oceanu. Matka jego była prawdy uosobistnieniem, była samą szczerością, mógłże posądzić o kłamstwo istotę tak do matki jego podobną?

Nietylko podróże opisywał; spowiadał się czarodziejce, która tak nagle sercem jego zawładnęła, z uczuć najtajniejszych, z marzeń swoich, ze snów o ideale tak zupełnie Laurę przypominającym... nareszcie głosem urywanym jakby mu nagle tchu w piersi zabrakło, malował barwami jaskrawemi swój zachwyt... uniesienie... że jutro kończy mu się urlop... wróci jednak na morze ze skarbem, którego nie oddałby za całe królestwo... popłynie z jej obrazem uroczym w duszy!... chwile przelotne z nią spędzone nigdy, przenigdy! z pamięci mu nie wyjdą...

Laura tymczasem coraz częściej ku drzwiom zerkała, a z ócz jej strzeliła tryumfu błyskawica, gdy w posągowo regularnych rysach kirassjera spostrzegła pewną zmianę i twarz bladą ujrzała nagle płonącą gniewem.

— Oh! tak, tak! — nachyliła się pieszczotkliwie ku Jerzemu — nie zapomnij o mnie hrabio, gdy ujrzysz się na pełnym oceanie... i ja z najwyższą przyjemnością pogonię za panem myślami...

— My bo marynarze — kończył Jerzy głosem drżącym — mamy dziwną naturę... Jesteśmy fantastami, marzycielami... Długie od świata odosobnienie wyrabia w nas nie tylko hart duszy, ale stajemy się uparcie wiernymi... jednemu uczuciu... jednym wspomnieniom... W tęsknocie naszej radzibyśmy zdobyć jakiś znak widomy przypominający chwile szczęśliwe... Bądź co dla nas staje się drogocennym talizmanem... rękojmią na przyszłość... kwiatek... wstążka... rękawiczka... Składamy to na sercu jak świętość... jak coś, co nas łączy więzami niewidzialnemi z istotą ukochaną...

— Jeżeli taka drobnostka może ci hrabio do szczęścia wystarczyć — uśmiechnęła się rozkosznie — niech ta szarfa biała będzie dla ciebie podobnym talizmanem, niech przez nią spłynie na ciebie niebios błogosławieństwo! — odczepiła od ramienia kokardę z długiemi końcami i podała Jerzemu.

W uszach uczuł szum, jak podczas gwałtownej burzy morskiej, w oczach mu pociemniało.

— Talizmanem szczęścia prawdziwego i tegoż rękojmią — szepnął — może być li dar, który nam nawzajem miłość i wierność ofiaruje... Czy wolno mi za taki klejnot najcenniejszy uważać szarfę daną mi przez ciebie pani?

Spojrzał jej w oczy szczerze uczciwie z twarzą rozpromienioną.

W tej samej chwili stanął przed nią kirassjer z pysznym bukietem kotyljonowym z samych kamelji i fiołków parmeńskich.

Laura z pełnej piersi odetchnęła, matce szepnęła: „Już go mam“ — a rzuciwszy uśmiech zalotny Jerzemu i słówko niebaczne: — wolno! — utonęła w wirze walcowym unoszona silnem ramieniem rotmistrza.

Naznoszono jej mnóstwo bukietów, z nikim więcej atoli tanczyć nie chciała, wymawiając się wielkiem zmęczeniem.

Gdy ją danser posadził na dawnem miejscu, długa powłoka okręciła się w koło nóg Jerzego, ni to wąż o łusce srebrzystej, który gotuje się zdusić ofiarę upatrzoną.

Głosem drżącym blady od nadmiaru wzruszenia spytał jeszcze, czy może wrócić za rok i czy dotąd zechce o nim pamiętać?

— Ależ najchętniej! — odrzuciła bezmyślnie, wciągając woń oderzającą z bukietu, który jej dał był rotmistrz. Czyż mogłabym stać się tak niewdzięczną?... Nigdy w życiu tak się kotyljonem nie ubawiłam... Czuję się najszczęśliwszą!... Czyż pan tego nie widzisz?

Bukiet z ręki jej się wysunął.

— A kilka kwiatów na pamiątkę? — spojrzał na nią Jerzy błagająco.

— Tylko nie z tego bukietu! — żywo zaprotestowała, odbierając z rąk marynarza kwiaty przez niego podniesione — nadto misternie ułożone... nie chcę psuć całości... tłumaczyła się pomieszana.

Ruchem szybkim, wyjęła różę białą z innej wiązanki i kilka gałązek mirtu, wszystko łącząc wstążką odpiętą od ramienia.

— Jako szczęśliwą na przyszłość przepowiednię podała mu bukiecik z okiem spuszczonem i z rumieńcem na twarzy. Kokietka bezczelna nie śmiała przecież podnieść wzroku na tego biednego marzyciela, który w niej widział bóstwo nie ledwie.

— Do zobaczenia! — szepnęła na pożegnanie...

* * *

I znowu otoczył Jerzego bezmiar oceanu, piętrzyły się fale, szumiały bądź tęskno bądź złowrogo morskie bałwany, unosząc w dal okręt admiralski, na którym pełnił już służbę kapitana.

Teraz jeżeli znalazł wolną chwilę, zapatrzony w toń wód sinawą wszędzie widział uroczą postać Laury. Jaskrawe słońca promienie łamiąc się w falach,

przypominały mu jej złote włosy, fal barwa gazę zielonkowatą tak cudnie kwiatem Nenufary podpinaną, srebrna łuska ryb wesoło pluskających, jej długą powłokę atłasową. Te rozkoszne marzenia skracały mu wlokące się nieznośnie dni i miesiące, uśmierzały palącą niecierpliwość i tęsknotę niewypowiedzianą...

Nareszcie zawinął szczęśliwie do portu i popędził do stolicy pociągiem błyskawicznym.

Skoro nadeszła godzina, w której wolno damom składać wizyty, zadzwonił u bramy pałacu matki pięknej Laury.

— Czy pani hrabina przyjmuje? — bąknął głosem stłumionym do nadbiegającego liberzysty, wciskając mu w dłoń bilet wizytowy.

Coś go w gardle dusiło i tchu nie mógł złapać w pierś ściśniętą.

Jak senny, ledwie na pół świadomy co się z nim dzieje, dał się przeprowadzić przez szereg pokoi, póki się nie znalazł w prześlicznym buduarze, niby namiocie upiętym misternie z atłasu niebieskiego, w którego fałdach błyszczały konchy morskie i perły olbrzymie. Nawet lampka wisząca u sufitu, miała kształt i powierzchnią mieniącą się barwami perły prawdziwej.

W głębi niskiego fotelu, obitego bogatym atłasem, perłowego koloru, z wyciskanemi kwiatami aksamitnemi, i kołyszącego się za każdem poruszeniem, leżała raczej niż siedziała Laura, trochę blada, w prześlicznym negliżu upstrzonym mnóstwem kokard i obszytym bogato prawdziwemi koronkami, z lekkim jak mgła motylkiem na złotych puklach, który miał pretensją reprezentować ranny czepeczek. Wyciągnęła ku wchodzącemu rączkę białą, delikatną, niemal przeźroczystą.

— Jakaż miła niespodzianka! — uśmiechnęła się zalotnie. — Dotrzymałeś zatem słowa, kapitanie i wracasz niby ptak wędrowny, zatęskniwszy za rozrywkami, w które obfituje nasza stolica.

— Dotrzymałem słowa pani danego — przycisnął do ust namiętnie cienkie i chłodne paluszki — za panią li tęskniłem i do niej powracam.

— Poczciwa! wierna dusza! — w tonie mówiącej był odcień nieznaczny zmięszania i niepewności, jak iść dalej po tak ślizgiej drodze. W czasach tak pozytywnych, coś rzadkiego i rozczulającego!... Gdybym była monarchinią i miała ordery do rozdania, najjaśniejszą gwiazdą brylantową twoją pierś bym ozdobiła, szlachetny rycerzu! — przeszła w ton zaczepno-figlarny.— Będąc atoli prostą śmiertelniczką, muszę się ograniczyć na gołosłownem podziękowaniu... nie mogę nawet jak niegdyś szarfy panu ofiarować... wtedy byłam jak ptak wolną... a dziś niestety! dałam się dobrowolnie zamknąć w samotrzask i jestem pod władzą mojego tyrana, zazdrośnego jak Otello, który mógł by mi scenę wyprawić za podobne odznaczenie.

— Któż jest tym... zazdrosnym tyranem?... — kapitan zbladł śmiertelnie, drżąc jak w febrze.

— Ależ mój pan i małżonek! — zaśmiała się nerwowo. — Nic zatem nie wiesz kapitanie?... I ciebie więc spotyka siurpryza nie lada!... To doskonałe! Wziąłeś mnie za pannę!... a tu już syn na świecie od sześciu tygodni! — blada twarzyczka spłonęła szkarłatem. — Muszę ci się kapitanie kochany przedstawić najformalniej: — Hrabina Laura S., pułkownikowa w kirasjerach! — trzepała żywo z oczami spuszczonemi.

— Pani jesteś... małżonką?... — szeptał Jerzy głosem urywanym, prawie bezprzytomny — i jak długo?... jeżeli wolno spytać...

— Ha! ha! ha!... jakiż z pana człowiek roztargniony!... anonsowałam ci przecie syna urodzenie.... Oh! jęczę w jarzmie małżeńskiem rok blisko! — potrząsła główką żałośnie. — Po owym balu mój pan kirasjer, taką zapłonął do mnie gwałtowną miłością, że nawet nie czekał na ukończenie wyprawy i wyrobiwszy indult do miesiąca przed końcem karnawału porwał mnie i wywiózł do Włoch. Następnie urządziliśmy się w moim ojczystym pałacu razem z mamą... Nie przeczuwałam, ile nudy, trosk i cierpień my biedne kobiety musimy ponosić po ślubie... nie byłabym się tak wcześnie dała wprządz do pługa... Żeby nie mama, byłabym samą najczęściej... męża nigdy prawie w domu nie ma... ot! i teraz towarzyszy najjaśniejszemu panu na polowaniu... od tygodnia go nie widzę... Teraz spodziewam się kapitanie, że i ty czasem rozerwiesz moją samotność... o ile na to mój niedźwiedź zazdrosny pozwoli... Pamiętasz pan jeszcze owego naszego kotyljona?... Ubawiłam się nim kolosalnie!... Kotyljon siedzący!... czy to rzecz słyszana!... A jakieś mi prawił dusery kapitanie!... ha! ha! ha!... wy marynarze ludzie niebezpieczni! zapalni jak dynamit! mimo iż macie do czynienia z zimnym żywiołem... z wodą.

Uczuł w sercu ból piekący.

— Pamiętasz pani zatem każde moje słowo? — spytał z uśmiechem gorzkim i pełnym sarkazmu zjadliwego — i daną mi szarfę?... i bukiecik?... a jednak w miesiąc po balu... poślubiłaś innego!...

Wlepił w nią wzrok dziki i błędny, jakby mu się zmysły mięszały.

Laura w dłonie plasnęła:

— Wielki Boże! Jakież z was dzieciaki! moi panowie marynarze! Patrzysz pan na mnie tak srogo, jakbym naprawdę zbrodnię popełniła... Któż bo bierze na serjo pogadankę kotyljonową?... Plecie się koszałki opałki, zwyczajnie jak na balu?... Czyż godzi się pociągać do odpowiedzialności, za lada kaprys przelotny... lada żart niewinny?...

Serce jego zatem wierne, szczere, było zabawką w ręku zimnej i wyrafinowej kokietki. Złamała je bez skrupułu i precz odrzuciła, skoro celu dopięła... skoro złapała świetną partję, dotąd z pod rąk jej się wymykającą... To co dla niego było świętością, ona za kaprys przelotny uważała... Boże! czemuż ta zwodnica bez serca, tak mu całą postawą matkę przypominała?... czemuż w nią uwierzył?... czemu pozwolił sobą zawładnąć?...

Krew mu się lodem ścięła... w głowie nastał zamęt straszliwy... w sercu pusto się zrobiło... Ani wiedział, co się z nim stało, jak się pożegnał i kiedy znalazł się na ulicy...

Wiatr ostry pomógł mu odzyskać przytomność i myśli cokolwiek uporządkować...

* * *

Mijał rok za rokiem, całe lat dziesiątki... kapitan był wiecznie sam, ponury, milczący, najczęściej zamknięty w swojej kajucie.

Gdy do portu zawijał, nogą prawie lądu stałego nie dotknął, chyba, że go do tego zmusiły służbowe powinności... Uchodził za dziwaka, od ludzi stroniącego, za maszynę pełniącą służbę bezwiednie... Nikt go nie widział uśmiechniętym, nigdy nie zażądał urlopu... Raz tylko wzrok zamglony dziwnie mu się ożywił i coś, niby cień uśmiechu przemknął po bladych ustach, a czoło rozjaśniło się, okryte przedwczesną siwizną... Książe Ludwik przysyłał mu z listownem poleceniem chłopaka, aspiranta do tytułu oficerskiego. Był niesłychanie szczupły i wątły; dlatego lekarze radzili wysłać go na morze... Ojciec był jenerałem; matka zawsze piękna i ubóstwiana, nie miała nigdy czasu zajmywać się jedynakiem... Rósł zatem w latach dziecięcych na łasce piastunek, później zaś guwernantek i mentorów. Młody hrabia Romuald S. miał złote włosy i oczy piękne, barwy nieokreślonej, mieniącej się jak fale morskie.

Kapitan drgnął nerwowo na widok młodzieniaszka, wkrótce jednak całą duszą przylgnął do niego i jak syna go ukochał.

Podczas długiej wędrówki po morzach, kapitan każdą chwilę wolną poświęcał teraz młodzieńcowi, oddanemu pod opiekę. Rozwijał umysł wypaczony przez nieodpowiednich nauczycieli, hamował zbytnią drażliwość i popędliwość, wpływał na rozum i serce jednocześnie... I chłopak namiętnie przywiązał się do opiekuna. Pierwszy raz w życiu ktoś go tak czule przygarnął, tak wiele okazywał mu miłości i przychylności. Ojciec własny umiał li karcić surowo, zrażając tem i tracąc dziecka zaufanie, matka czasem pieściła go bezmyślnie, budząc w nim z drugiej strony wstręt niemal, swoją bezdenną próżnością i lekkomyślnością.

Pierwsza burza powitała ich rykiem piekielnym, na pełnym oceanie. Cała załoga na pomost wylęgła; głos kapitana grzmiał nieustannie, wydając stosowne rozkazy.

W tem krzyk się rozległ, głusząc szum wichru i bałwanów:

— Hrabia S., nasz aspirant, wpadł do morza!

W rzeczy samej, do tak gwałtownego kołysania nieprzywykły, Romuald uczuł zawrót głowy, pośliznął się i z pomostu znalazł się w wodzie.

Kapitan bez namysłu rzucił się za nim i obaj zniknęli wśród fal spienionych...

Spuszczono czemprędzej łódź ratunkową... kilku majtków najdzielniejszych pospieszyło na pomoc ukochanemu przez wszystkich kapitanowi...

Łódź wróciła nareszcie, wyłowiwszy szczęśliwie topielców. Kapitan jednem ramieniem obejmywał kurczowo Romualda, drugą ręką przyciskał do piersi małą torebkę skórzaną.

Czy siły młode czy też wytężenie kapitana, żeby mu głowę trzymać nad wodą, dość że Romuald wkrótce oczy otworzył, dzięki staraniom lekarza okrętowego.

Kapitan niestety, leżał dotąd martwy i sino blady.

— Praca daremna! — lekarz ciężko westchnął a majtkowie nieznacznie łzy rękawem ocierali — na śmierć nie mamy lekarstwa!... Żegnaj nam druhu serdeczny! szlachetny przyjacielu!... Co też to za talizman drogocenny, tak kapitan ciśnie do piersi? Damy ci na drogę wieczności te relikwie, zobaczę tylko co też tam było!

I delikatnie wysunął torebkę z dłoni skostniałej nieboszczyka.

Pocisnął sprężynę... zobaczyli pożółkłą szarfę atłasową, różę zasuszoną i garsteczkę liści mirtowych...

KONIEC. *Alfa.*

Potęga prawdy.

(C. d.) Przyroda zanim przywdzieje szaty godowe, zapowiada wiosnę, wymiatając z nieba śniegu ostatnie płatki, albo lejąc jak z cebra wśród wichru gwałtownego. Tak czyni każda porządna gosposia. Przed każdym świętem uroczystem każe myć i czyścić kącik najciaśniejszy.

Tak się działo i obecnie. Strugi deszczu nawalnego zmywały z dachów pleśń zimową, z rynien wybuchały istne kaskady z szumem i pianą. Wróbel porzucał swoją zimową kwaterę, otwór w miejskich kominach i z piskiem przeraźliwym kąpał się w deszcówce, opłókując skrzydełka z sadzy. Na pół roku miał zniknąć ów rodzaj, specjalność miast wielkich, wróbel kominiarczyk.

Najgorzej wyglądała podczas wiosennych roztopów, ulica nowo wycięta i oddana przedsiębiorcom do zabudowania, na którą z nowym rokiem przeniosła się rodzina Althausów. Dostała wprawdzie nazwę

głośno brzmiącą: ulicy Zwycięztwa, ale też na tem akcie ostatnim pan burmistrz jak i reszta ojców miasta, ukończyli całe staranie nie troszcząc się wiele o jej przyszłe losy. Daremnie wołano o pomoc głosem wielkim we wszystkich pismach lokalnych, daremnie błagano radę, bodaj o jedną latarnię, żeby nie utonąć w błota przepaściach i nóg nie połamać w licznych dziurach i wybojach, daremnie przestrzegano przed nowemi budowlami, z których jedna niedawno się zawaliła prawie na ukończeniu, grzebiąc pod gruzami biednych robotników a nawet kilku przechodniów. Był to głos wołającego na puszczy. Prześwietna rada uszy sobie zatykała i oczy zamykała, nie chcąc wiedzieć o niczem.

Sążniste afisze różnokolorowe, zapowiadały same pańskie apartamenta ze wszelkiemi nowomodnemi wymogami. O tem atoli wzmianki nie było, że mury cienkie niby z kart, że wieżyczki chwieją się prawie za każdym silniejszym wiatru podmuchem, jakby ich kto z chleba ulepił, balkony wyglądają na cukierki czekoladowe a cegiełki barw rozmaitych na jasny perkalik w kratkę.

Wszędzie oddechało się stęchłą wilgocią, wszędzie parowało świeże wapno, odpadał tynk i osypywały się nie dość wyschnięte gzymsady.

Było jeszcze za wcześnie na wizyty lub przechadzkę, a już pani Althaus szła ku domowi brnąc mozolnie przez kałuże szeroko rozlane. Gdzie stąpiła chlupało błoto obryzgując buciki i pończochy. Podniosła się wysoko, prawie po kolana, wiedziała bowiem, że jej nikt nie zobaczy. Murarze i ich pomocniki są przecież nikim. Jak długo była na ulicy głowę niosła wysoko a w rysach ostrych miała wyraz dumy nieugiętej. Skoro jednak weszła po za furtkę malutkiego lichego ogródka, w którego glinie rozmięszanej a dotąd żwirem nie wysypanej, o mało kaloszy nie pogubiła, głowa jej zwisła na piersi, usta zadrgały kurczowo a w oczach czarno podkrojonych gniew wściekły zamigotał.

Dom skończono dopiero pod jesień. Rodzina Althaus miała go zatem osuszać, i z tego powodu dość tanio stosunkowo dostała kilka dużych pokoi. Kiedyż z drugiej strony ściany świeże, tyle im rzeczy poniszczyły, tyle popleśniało i poszło na marne, że oszczędność pokazała się w końcu wielką stratą.

W przechodzie przez mroźny salon pani Aurelja wlepiła wzrok piorunujący w ogromną dziurę w ścianie. Tu zawieszono fotografję radcy nieboszczyka. Hak nie mógł się utrzymać w murze rozmokłym. Spadła w nocy duża rama, łamiąc kosztowny krucyfiks i tłukąc kielich ofiarny. Cała dekoracja ostentacyjno-żałobna poszła w niwecz.

Obok, w jednym tylko pokoju sypialnym było trochę cieplej.

Panował tu nieład przerażający. Na stołkach leżały rozmaite części ubrania, na posadzce walały się pończochy, pantofle, a wśród nich łabędzik do pudru.

Helena siedziała w brudnym jak noc penioarze, przed dużem źwierciadłem toaletowem, mając za plecami *trumeau* stojące, aby widzieć i z tyłu układaną nader sztucznie fryzurę.

Na małym stoliku w rogu sypialni podano na prędce śniadanie, bez nakrycia, bo też i przyborów nie trzeba było do tak skromnego posiłku.

Maks grzał się pod piecem.

— Jesteś przecie?! — ofuknęła go matka na samym wstępie. — Spotkałam waszą kompanję do miasta z manewrów wracającą. Przejeżdżał właśnie z żoną i córką następca męża mojego. Twoi panowie kamraci kłaniali się tamtym na wyścigi, bo mają nadzieje spijać tam herbatki i zajadać smaczne kolacyjki. Na mnie nawet uwagi nie zwrócili!

— Przyznam się, że i ja mamy nie widziałem — Maks bąknął wzruszając nieznacznie ramionami.

— Czyż ty wogóle co widzisz lub słyszysz na bożym świecie?! — matka szydersko odrzuciła. — Jesteś niedołęgą i na tem koniec! Kiedy nawet tego nie możesz przeprowadzić, żeby twojego luzaka w domu zostawiono!... Cicho! przynajmniej nie pleć bredni o służbie... powinności... i tem podobnie... Już mi się to uszami przelewa! — skinęła ręką, głos podnosząc, gdy syn usta otwierał, chcąc coś wtrącić na swoją obronę. — Chłopiec twój jest nam gwałtownie potrzebny!... Któż ma przynieść drzewa i wody... pompa w kuchni do niczego. Do tego przechód przez dziedziniec dotąd nie wybrukowany, gdzie po pas błota. Wiesz, żeśmy teraz ograniczeni na jedną kucharkę, i że ta sobie sama rady dać nie może.

W ten sposób łając i wyrzekając, wydobyła pakiet z pod płaszcza kładąc na stoliku w kącie.

Helena porwała się od źwierciadła i czemprędzej z włosami przez pół rozpuszczonemi, papier rozwinęła. Było to pudełko z dwoma flakonami perfum.

— Opoponaks! — przeczytała. — To dla Maksa... Fjołki parmeńskie!... to dla mnie. Chwała Bogu! bo właśnie kończę mój zapas perfum eleganckich.

— Podczas wysprzedaży — opowiadała pani Aurelja — można rzeczywiście kupować wszystko bajecznie tanio!... gdyby nie potrzeba nieść samej pakiet do domu. Wziąć ekspresa, znaczyło by tyle, co stracić zysk cały. A jednak rzecz fatalna, zetknąć się z kim z dawnych znajomych, gdy się coś pod płaszczem ukrywa. Żeby jak cisnąć pod pachą, płaszcz się w tem miejscu odyma i zdradza, że to same dźwigamy, co niegdyś za nami lokaj nosił.

Odwróciła się, aby zdjąć płaszcz i kapelusz. Helena w głos krzyknęła:

— Na miły Bóg! A to co za plama na plecach?!... Pewnie w ścisku ktoś, lub mama sama wylała flaszeczkę z jakimś olejkiem i tłusty płyn w płaszcz

wsiąknął. Jaki wypadek fatalny! W dzień nie może mama więcej ubrać tego płaszcza.

Pani Aurelja wpatrzyła się przerażona w płaszcz zniszczony. Oto zysk cały z taniego kupna!

— I do tego plamę na moich plecach musiała spostrzedz niezawodnie nowa radczyni! — załamała ręce rozpaczliwie.

— Wie mama co — szepnęła Helena — jabym radziła pokryć tę sprawę niemiłą milczeniem i udać przed sługami, jakby nas to wiele nie obchodziło. Są i tak z dnia na dzień śmielsi i zuchwalsi. Gdy mama wczoraj dysponowała *purée* z ziemniaków na kolację, słyszałam w chwilę później chichot kucharki i uwagi złośliwe do twojego chłopca Maksiu: — Niech tam pani chrzci jak chce piórem nie piórem, a farmuszka zostanie prostą, chłopską farmuszką! To ci raz kolacja! No! no!!!

— Bo chłopski rozum, ma więcej niżby się kto z nas spodziewał, rozwinięty zmysł krytyczny i zwietrzy kłamstwo jak dobry wyżeł kuropatwę — Maks mruknął niechętnie. — Fiołkujcie się nie wiem jak i oblewajcie najdroższemi pachnidłami, a oni jednak tym blichtrem i namułem oszukać się nie dadzą. Czują przez skórę nasze troski i nędzę zawieszoną nad głowami, niby miecz damoklesowy, i najsłuszniej drwią z waszych komedyj.

Helena usiadłszy znowu przed zwierciadłem, potakiwała bratu główką z minką nadąsaną. Tymczazem porozpuszczała włosy na szpilkach pokarbowane, i tak mocno przypieczone, że wyglądały jak mech wyrudziały i na wszystkie boki rozstrzępiony.

— Źle się zrobiło, opuszczając tamto pomieszkanie — plotła bez zastanowienia. — Mówiliśmy wprawdzie, iż nam nadto boleśnie, patrzeć na miejsca gdzie papa... gdzie ojciec nieboszczyk przebywał — szybko pochwyciła — ale czy w to ktokolwiek uwierzył?... I pokojowę trzeba było gwałtownie zatrzymać...

— A masz jej z czego płacić? — matka gniewnie ofuknęła w słowo wpadając. — Czemuż wasz ojciec więcej majątku nie zostawił? Ta odrobina topnieje jak śnieg w marcu. Chcąc bodaj przez rok jeszcze utrzymać pozory jakie takie, musiało się zaprowadzić oszczędności, gdzie się tylko dało.

— Pozwalamy wypychać się krok za krokiem z dawnego stanowiska, na którem w żaden sposób utrzymać się nie możemy — Maks odezwał się ponuro zamyślony — zamiast zająć od razu miejsce, na jakie nas stać było, i starać się o grunt pod nogami, po prostu... o chleb powszedni.

— Pewnie! — matka skrzywiła się szydersko — miałam może postarać się o umieszczenie w domu ubogich, Hela pójść w służbę, a ty smarować ściany, co? Podróżuj się trochę Helo pod oczami, i twarz spudruj lepiej... Mizernie wyglądasz, a tu idzieo złapanie takiego Löwensterna, najpierwszego w naszem mieście epuzera!

— Nie okrywałybyście się panie na nowo śmiesznością! — Maks wtrącił z ciężkiem westchnieniem. — Czyż już mamie wypadł Gehren z pamięci? Nie dośćże was jeszcze skompromitował?

— Eh! któż myśli o takich starych dziejach! — Helena ręką machnęła lekceważąco. — Umiałam bo sobie postąpić z Gehrenem, bardzo zręcznie i rozumnie. Jestem dla niego uprzejmiejszą, niż kiedykolwiek. Tak zaciera się najłatwiej pamięć zniewagi, którą mi wyrządził.

— Że Detlew w Heli rozkochany, to przecież bije w oczy! — matka dalej ciągnęła. — Słyszałyśmy, iż jej robotę kupił za tysiąc marek w bazarze; a tu kiedyś, czyż nie wsiadł sam na kozioł, żeby ją odwieźć do domu? Dotąd wstrzymywało go zapewne od kroków stanowczych bezczelne Gehrena nadskakiwanie. Nasza rzecz zatem, ośmielić go i dodać mu otuchy. Gdziekolwiek da się to uskutecznić, Hela musi się znowu pojawiać w towarzystwach. W naszej epoce błyskawicznej, nie ma czasu rok cały poświęcić żałobie. Sześć miesięcy zresztą od śmierci ojca upłynęło... Przejdziemy do oddziału trzeciego. Trzeba będzie przejrzeć najnowsze mody Helo! Co noszą obecnie w Paryżu do: *Demi Deuil?*

Tak więc i strata bolesna służyła tym próżnym kobietom za pretekst do nowych toalet i wydatków. Krawcowa nigdy z domu nie wychodziła; igła i nożyczki były bronią, którą miały pobić i ujarzmić nieprzyjaciela.

— Boże wielki! — Maks potrząsł głową. — Cóż to musi być jednak za przyjemne uczucie, jeżeli kto może sobie pozwolić żałoby, przynajmniej tak długo, jak tego serce wymaga, i nie potrzebuje odgrywać nikczemnej roli komparsa, w takiej tragi-komedji, jaką panie od pół roku przedstawiacie.

— Ba! kto czuje, że idzie na dno — matka ostro wykrzyknęła — nie pyta o tych którzy już utonęli, tylko sam ratuje się jak może i na inny okręt wskakuje. — W tej chwili zegar pierwszą wydzwonił.

— Spiesz się Helo! — surowo córkę upomniała. — Guzdrzesz się niemiłosiernie! Spóźnimy się na plac giełdowy i nie zobaczymy wychodzącego Löwensterna.

Wyszła aby zmienić zarzutkę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Korespondencja redakcji.

I. Z. we Lwowie. Wiersze treści religijnej nieodpowiednie do „Kwiatów".

Leliwa pod Krakowem. Dziękujemy.

Zygmunt Justyn. we Lwowie. Odpowiedź możebna dopiero za tydzień.

„Drukarnia Polska". Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.